

Adam Michnik poleca **Czytajmy Józefa Wittlina**

ORFEUSZ NIE CHCE OPUŚCIĆ PIEKŁA

FOT. NAC



• Zjazd Poetów w Pławowicach, rok 1928. Józef Wittlin stoi drugi z lewej, obok Antoniego Słonimskiego. Od lewej siedzą: Emil Zegadłowicz, Leopold Staff, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Lechoń, Zofia Starowieyska-Morstinowa, Paul Cazin, Julian Tuwim, Maria Morstin-Górska, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Z tyłu stoi Ludwik Hieronim Morstin.

Prawda – nic tak jak to słowo nie ekscytuje pisarza. Nic tak nie izoluje od okrucieństwa i tępoty

Marek Zaleski*

Był polskim pisarzem, Żydem, urodził się w roku 1896 w Dmytrowie w Małopolsce Wschodniej, która podówczas należała do Austro-Węgier. Zmarł w Nowym Jorku w roku 1976.

Podobnie jak o cztery lata młodszy Aleksander Wat wstąpił na ochotnika do formujących się polskich legionów, a po wojnie w zakończeniu niewielkiej książki „Wojna, pokój i dusza poety” wznosił arcykowski toast „Kochajmy się!”. Pisał wspaniale o poetach Skamandra, „Panu Tadeuszu”, ostatnim królu Polski, Kościuszcze i literaturze niemieckiej, francuskiej, ale także o tej powstającej w Rosji sowieckiej. Latami pracował nad książką o św. Franciszku. Przed epoką zapoczątkowaną przez procesy moskiewskie przyznawał się do tego, że to, co się dzieje w ZSRR, obserwuje „ze szczerą sympatią”.

U schyłku lat 30. po raz kolejny stał się obiektem wściekłego ataku ze strony pra-

sy prawicowej, ale także sanacyjnego Obozu Zjednoczenia Narodowego. Oenerowski poeta Jerzy Pietrkiewicz wezwał w „Polsce Zbrojnej”, aby jako komuś z gruntu obcemu duchowi narodu polskiego zakazać mu druku i zamknąć w Berezie Kartuskiej.

Tłumaczył Homera, epos o Gilgameszu, Rilkego (poznał go w Wiedniu), Josepha Rotha (z nim z kolei w Wiedniu studiował i z nim też odsłużył dwa lata w armii austriackiej w czasie I wojny światowej, a potem przyjaźnił się do jego śmierci). Przełożył też „Wilka stepowego” Hermanna Hessego, powieść, która kilkadziesiąt lat później stała się książką kultową pokolenia kontrkultury, również w komunistycznej Polsce.

Marian Hemar nazwał go „królem neurasteników”. Przyjaciół zamęczał brakiem wiary w wartość swoich pisarskich dokonań, ciągle narzekał na swoje choroby, brak uznania i materialne kłopoty, ale miał też opinię człowieka wspaniale dowcipnego i był odważny – zawsze chodził własnymi drogami.

Po wojnie nie należał do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i potrafił napisać, że emigracja to „marginesy życia duchowego większości Polaków”, albo przyznać, że Ważyk to „ortodoksyjnie komunistyczny poeta wielkiego talentu”. Drukował w „Kulturze” paryskiej i dość długo wstrzymywał się ze współpracą z londyńskimi „Wiadomościami”, gdzie spotykał przedwojennych prześladowców.

Książki Józefa Wittlina, choć wyszły już w Polsce, są dziś trudno dostępne, on sam i jego pisarstwo jest przedmiotem konferencji naukowych, ale nie jest ciągle dostatecznie znane i docenione.

Zadebiutował antywojennymi „Hymnami”, które uchodzą za najbardziej udaną realizację poetycką rodzimego ekspresjonizmu, ale to powieść „Sól ziemi”, którą wydał w 1935 r., była jego największym literackim sukcesem.

Została przetłumaczona wkrótce na 13 języków. Został zgłoszony do Nagrody Nobla (jego kandydaturę wysunął podob-

no rząd polski na uchodźstwie). We Francji filozof Gabriel Marcel pisał o „Soli ziemi” jako wybitnej powieści, w której „poczucie humoru cudownie splata się z niewypowiedzianą litością dla nędzy ludzkiej, która sama nie posiada głosu”. Tomasz Mann widział w niej „jeden z nielicznych utworów powieściowych, które mimo nowoczesnej analizy krytycznej sięgają do tego, co jest typowe, a przez to mityczne i epickie”.

Obdarzony wszechwiedzą narrator stylizuje swą powieść na XX-wieczny epos homerycki, tasuje plany opowieści, sięga po toposy biblijne, ale też zderza patos z realistycznym humorem, tragizm z groteską. Wittlin jej bohaterem uczynił niepiśmienego Hucula, tragarza ze stacyjki kolejowej we wschodniej Galicji, zmobilizowanego na front I wojny. Piotr Niewiadomski (nomen omen) to homerycka postać trzeciego planu, homunculus, „wychodzący z ciemności”, jak czytamy, człowiek przyszłości wyrabiany w trybach nowoczesnej machiny państwowej subordynującej jednostkę. „Sól...” miała być częścią pierwszą zamierzonej trylogii, ale walizka z fragmentami i notatkami do kolejnych części zaginęła we Francji, w małym porcie w Zatoce Biskajskiej, podczas ucieczki przed Niemcami do Portugalii.

Wielką popularnością cieszył się także esej „Mój Lwów” wydany w formie niewielkiej książki w roku 1946. Był aktem strzelistym miłości do miasta młodych lat, ale też świadomą mistyfikacją: „Bawmy się w sielankę”, napisał. Wittlin jako jeden z pierwszych podkreślał mitotwórczą rolę pamięci. W tym eseju nie wspomniał o trzydniowym pogromie Żydów, którym bohaterscy mieszkańcy Lwowa przywitani niepodległość. Wcześniej, w eseju „Ze wspomnień byłego pacyfisty”, wyznał, że to zdarzenie przewartościowało cały jego dotychczasowy pogląd na wojnę. Nigdy już potem do tego nie wracał, to było zbyt traumatyczne przeżycie.

Warto tu wspomnieć, że w 1934 r., odpowiadając na antysemicki atak „Gazety Polskiej” i odnosząc się do swego „pochodzenia”, jak napisano, „brudnego żyda”, Wittlin podawał: „Wracając jeszcze do sprawy mego »domu«, mieszkania mojej rodziny we Lwowie, nie są zupełnie nieznane prasie endeckiej. Dwa jej wybitne filary przebywały wszak w takim mieszkaniu w czasie walki o Lwów w roku 1918. Mieszkanie to wówczas zamieniono w prywatny lazaret i nie musiało być tak bardzo brudne, skoro filary, wówczas ranni studenci-żołnierze, pozostający pod opieką Żydówki, nie dostali w nim gangreny, lecz żyją i pracują dzielnie na chwałę Narodowej Demokracji”.

Najbardziej przenikliwy portret Wittlina wyszedł spod pióra Gombrowicza na prośbę redaktora Giedroycia, który w 1962 r. ogłosił w paryskiej „Kulturze” subskrypcję na przygotowywany do druku tom esejów „poczciwego” – jak lubił pisać w listach – Wittlina.

Gombrowicz zżymał się nieco na to zamówienie. Postronnym mogło się wydawać podejrzaną transakcją – wszak Wittlin wcześniej, znowu na prośbę Jerzego Giedroycia zasadnie spodziewającego się skandalu, napisał świetną przedmowę do „Trans-Atlantyku”, „majstersztyk klarownej perswazji i dobroci”, jak kurtuazyjnie nazwał ją Gombrowicz w liście do przedmówcy.

Gombrowicz zadanie wykonał nieco asekuracyjnie, przypinając Wittlina o palpitacje i stwarzając niełatwą sytuację samemu Giedroyciowi. Wittlin jest zrozpaczony, donosił redaktor. „Anielskość w szlafmicy, prawie jak z Dickensa, zbożala i kwękająca, z kośćcami zacna...” – pisał Gombrowicz i przedstawiał Wittlina jako pisarza rozbitka, któremu skończył się jego świat.

Wszakże portret posiadał swój rewers. Przyszłego autora „Orfeusza w piekle XX wieku” przedstawiał jako mieszcza-nina, „któremu usunęło się spod nóg jego mieszczaństwo”. „Wittlin, w moim pojęciu,

to demonizm mieszczański”, pisał, upatrując w nim pisarza, który nosi w sobie piekło. Neurastenik, który dzięki swojej chorobie stał się artystą, owładnięty katastrofą własnego świata, wisi nad przepaścią, przed samym sobą udając, że lina ratunkowa, której się schwycił (Wittlin w 1953 r. dokonał konwersji na katolicyzm), zwisa z nieba, które jest puste. „Dotarł przez własną chorobę i przez Hitlera i, dodajmy, poprzez swoje żydowskie dziedzictwo – do samego kresu nocy”.

Urazowość Wittlina, przekonanego, że Gombrowicz traktował go instrumentalnie, sprawiła, że poczuł się wystawionym mu konterfektem bardzo dotknięty. Jak pisał w listach do Giedroycia i samego Gombrowicza: urodził się i wychował na wsi, gdzie jego rodzice zarządzali (nie swoim) majątkiem, do mieszczaństwa zawsze czuł odrazę.

Tu Wittlin wcale się nie krygował. Jeszcze przed wojną, solidaryzując się z Tuwimem, nieraz z pogardą pisywał o polskich „strasznym mieszczanach”. W wywiadzie dla „Expressu Porannego”, odpowiadając na pytanie o upadek kultury mieszczańskiej, zwracał uwagę, że wprawdzie cywilizację naszą można ze stanowiska kultury umysłowej nazwać rzymsko-chrześcijańską, a ze stanowiska społecznego mieszczańską, ale u nas – powiedział – „jej upadek byłby kwestią dziesięciu-piętnastu tysięcy ludzi”.

Miał rację, ale nie znaczy to wcale, że Gombrowicz, kreśląc jego portret, przeszarżował. Więcej, uczciwie, choć w swoim stylu („ten rodzaj charakterystycznego dla Ciebie okrucieństwa”, jak pisał mu Giedroyc), oddał przysługę, wydrapując swoim pisarskim pazurem dziurę w wizerunku Józia Biedaczyny, przez którą z sykiem wyleciało morowe powietrze XX wieku. To ono znalazło się w eseju o Edgarze Allanie Poem z 1952 r., gdy Wittlin pisał o duchach ofiar Zagłady z Europy Wschodniej błagających się uliczkami przy cmentarzu w Baltimore.

Wittlin był jedną z nielicznych w kulturze polskiej mannowsko-proustowskich postaci wymyślanych całkowicie przez samych siebie i na przekór okolicznościom. Zdaniem Gombrowicza był wyznawcą antycznej „miary” dlatego, że był sam „anarchią i rozpaczą”. Była w nim dzielność człowieka, który żyjąc w katastrofie, za wszelką cenę chce zachować integralność, więc dyscyplinuje się, bo jedynej poręki upatruje w lojalności wobec samego siebie. W tym Gombrowicz się nie mylił.

Wskazałbym tu jeszcze jeden trop czynny w jego życiu i pisarstwie tak podminowanym rozpaczą. Demonizm Wittlina – jeśli trzymać się gombrowiczowskiej kwalifikacji – ma także dodatkowy wymiar i charakter. Przywodzi niekiedy na myśl ironicznie opisaną przez Kierkegaarda kondycję zrozpaczonego, kogoś, kto lubuje się w swej rozpacz: delektując się swoim nieukontentowaniem i pięknem własnej porażki, nie chce być uleczony, chce pozostawać w tym stanie na przekór staraniom innych, mimo wszystko. W ten sposób utwierdza się w przekonaniu, że sprawuje kontrolę nad sobą i więcej: żyje w swojej prawdzie.

To demonizm zdaniem filozofa niepozbawiony komizmu, bo owo „mimo wszystko” przyjmuje postać nieokreślonego wektora: czy to dobry, czy zły wybór, zawsze czyniony na przekór sobie. W tym, co pisał Wittlin, zawsze czaiło się niewypowiedziane, ale stale obecne „mimo wszystko”.

Orfeusz z tytułowego eseju wydanego przez Giedroycia tomu nie chce opuścić piekła i dziś „woli światło elektrycznych żyrandoli od słonecznego blasku swego ojca, Apollina”. Pomaga nam „pokonać czas, który nieuchronnie wiedzie do śmierci”, choć wie o daremności swego przedsięwzięcia: ułuda trwa tylko chwilę.

Wittlin przez niemal całe życie poprawiał swój przekład „Odysei”. Pierwsze fragmenty przetłumaczył w polowym lazare-

cie na jednym z galicyjskich frontów I wojny, trzecie wydanie ukazało się w roku 1957. Praca nad przekładem to były ciągle ponawiane śluby złożone kiedyś „du holde Kunst” [szlachetnej sztuce]. Ale może „Odyseja” towarzyszyła mu całe życie, bo sam odnajdywał pułapkę swego losu w figurze Odyseusza?

Odyseusz rezygnuje z nieśmiertelności, ale nigdy nie rezygnuje ze swojej samotności będącej siostrą wolności, która do celu często prowadzi przez manowce. To Odyseusz – powiada pisarz Roberto Calasso – „w porywającym szybowaniu swojej inteligencji doprowadził po raz pierwszy do tego, że pośrednie zatriumfowało nad bezpośrednim, zwlekane nad rozstrzygnięciem, umysł pokrętny nad prostolinijnym porywem. Wszystkie cechy, jakie przez wieki przypisywano kupcowi, cudzoziemcowi, Żydowi, aktorowi, Odyseusz wcześniej wypracował w głębi siebie.

Najwyżej cenił takie okoliczności, w jakich ani arystokratyczna szczerość, ani demokratyczna wolność słowa nie były stosowne. Wiele wieków później takie okoliczności okazały się czymś normalnym, ale w czasach Odyseusza było to jak jasnowidzenie udzielone tylko komuś, kto wiele lat błąkał się między niebem a ziemią.

W ten sposób, podczas gdy Achilles i Agamemnon rysują się w pamięci jako relikty dawnego istnienia pochłoniętego przez katastrofę, Odyseusz pozostaje wciąż kimś swojskim, wciąż niewidzialnie nam towarzyszy. Ta jego obecność, której on sam nie chciał w jej bezpośredniości, została odzyskana w biegu pamięci i historii. Achillesa trzeba przyzywać – Odyseusz jest wciąż obok nas, wszędzie i mimo wszystko” (przeł. Stanisław Kasprzysiak).

„Każdy z nas wszędzie w Europie będzie w domu. Będziemy mogli w zimie kąpać się w »naszym« Morzu Śródziemnym lub jeździć na nartach w »naszych« Alpach. Anglicy za to przyjadą do »swego« Zakopanego”. Tak pisał Wittlin. W 1931 roku!

Wittlina, podobnie jak jego przyjaciela Bolesława Micińskiego, pewnie to fascynowało. Ale i przyprawiało o zawrót głowy, który – inaczej niż Gombrowicz – odchorowywał. Lepiej czuł się w bezpośredności z samym sobą i wolał sytuować się tam, gdzie – jak chciał wierzyć – pozostawał najbliżej prawdy. Prawdy, która uosabiała mądrość bogini Ateny. Spadkobiercy Odyseusza wciąż milcząco rozmawiają z Ateną – pisze Calasso. Wittlin robił wszystko, żeby w twarzy Ateny nie zobaczyć twarzy Meduzy. Bogowie i boginie, zwłaszcza ci z XX wieku, lubili przebieranki.

„Prawda – nic tak jak to słowo nie ekscytuje pisarza. Nic tak nie izoluje od okrucieństwa i tępoty” – mówił Wittlin w 1936 r. w wywiadzie dla „Wiadomości Literackich”, ale czy znaczy to, że wybrał żywot człowieka poczciwego? Jeśli już, to takiego, który na co dzień współżył z demonami, choć się z tym nie afiszował.

W kapitalnym eseju „Pusty teatr” w 1924 r. pisał, że największą tajemnicą jest dla człowieka jego twarz w swojej wła-

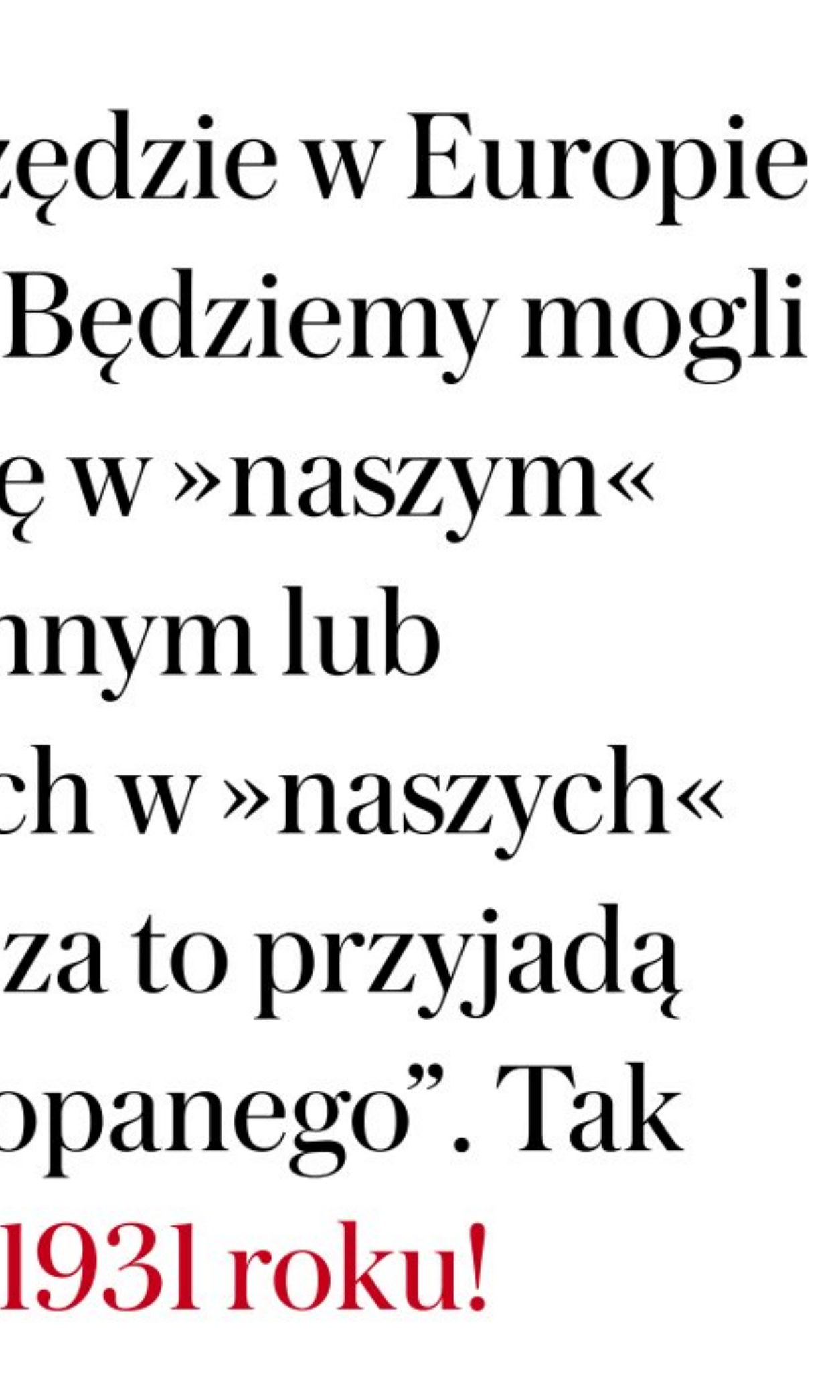
snej nagości, gdy objawia mu się wiedza, że jest obcy samemu sobie: „Cichną wówczas języki, ale głośniej zaczyna bić serce i dreszcz przechodzi nasze ciało, a od tego dreszczu mrocznieje nam w głowie”. Bardzo to gombrowiczowskie.

Również na początku jego drogi pisarskiej możemy u niego przeczytać: „Przechodząc na świat, mamy już przygotowany cały garnitur prawd moralnych i amoralnych, w które a priori musimy się ubrać”. Także o uczuciu znieswojenia, kiedy to „nawet najblaszsze zjawiska codzienne jawią się, jeżeli im się przyjrzyć z bliska, w postaci zagadki”.

Czy nie otwierało to drzwi do jakiejś wielkiej intelektualnej przyjaźni? W swoim dzienniku Gombrowicz pisał o „cichej burzy Wittlinów w Wittlinie”, o „wrzeniu na pozór jakże ukladnego wulkanu”. W korespondencji Gombrowicza z Wittlinem autor „Pornografii” nie był zdawkowy, odsłaniał się ze swoim własnym, jak pisał, demonizmem. Był kusicielem. Chciał, by niedoszły przyjaciel zdjął z wątlęgo ciała nazbyt ciężką zbroję albo inaczej: zrezygnował z wybranej przez siebie „gęby” i pozwolił zbuntować się Wittlinowi w Wittlinie.

Prowokował czy podejrzewał w nim bratnią duszę? Trzeba tu powiedzieć: nigdy Wittlinowi to się nie udało. Jego przepaść była przepaścią wzywającą przepaści, ale na jej skraju rosły piękne kwiaty, które sadził wierny ogrodnik. Jak zawsze. Mimo wszystko.

„Dziwaczne gusła czyni./ świat wokół niego robi się coraz bardziej pusty,/ a on na tej pustyni/ wolnymi głosi usta/ pochwałę wolnych ust” – pisał w niedrukowanym za życia wierszu. Ale czy w tej najlepszej może w poezji polskiej definicji kondycji po-



ety na wygnaniu nie słyszać skargi niepo-cieszonego, który, gdy nikt tego nie widzi, prawdziwy dla samego siebie, może się śmiać z własnego dramatu?

Był cywilizacyjnym pesymistą, który przed wojną żył w Polsce jak Europejczyk i wierzył w Europę. Tak jak w młodości we Lwowie nie mógł się obejść bez prasy wiedeńskiej, tak później, w warszawskim domu przy ul. Szustra (dziś Dąbrowskiego), bez paryskiej „La Nouvelle Revue française”.

Do połowy lat 30. odbył po Europie liczne podróże, w które – jak pisał – wyruszał na „spotkania z radością”. Publikował z nich świetne literackie reportaże w „Tygodniku Ilustrowanym” i w „Wiadomościach Literackich”.

Czytelnik artykułu z 1931 r. „Europa przeciwko ojczyznom” ma dziś wrażenie cudownego anachronizmu, podróży wehikulem jasnowidzenia:

„Każdy z nas wszędzie w Europie będzie w domu. Będziemy mogli w zimie kąpać

się w »naszym« Morzu Śródziemnym lub jeździć na nartach w »naszych« Alpach. Anglicy za to przyjadą do »swego« Zakopanego pić wódki »swego« Baczewskiego. Żaden celnik nie będzie już gmerał w naszych walizkach, będziemy palili »krajowe« papierosy Laurensa. Będziemy jedli »nasze« pomarańcze, figi, winogrona i nareszcie będziemy pili »własnego« szampana.

Każdemu wolno będzie być dumnym z tego, co uczynili inni ludzie, już nie tylko w obrębie własnych granic, lecz na obszarze całej Europy. Z dumą będziemy oglądali w kaplicy Sykstyńskiej freski »naszego krajana« Michała Anioła. Nareszcie i Niemcom będzie wolno twierdzić, bez niczyjej obrazy, że Kopernik i Wit Stwosz to »ich« ludzie. Zagadnienie polskości Conrada nikogo już nie będzie interesowało. Za zbrodnie popełnione i osądzone w Toledo będzie można siedzieć w polskich kryminalach i na odwrót.

Jedno tylko niebezpieczeństwo zagraża tej koncepcji ziemskiego raj: za dużo turystów będzie na świecie, tak iż może zabraknąć wagonów na przewóz bezrobotnych, którzy w poszukiwaniu pracy jeździć będą z jednego końca swojej nowej ojczyzny na drugi: z Marsylii do Rygi”.

Co jeszcze zaskakuje: autorem omawianej w artykule z entuzjazmem książki był Pierre Drieu la Rochelle, wtedy jeszcze liberał-paneuropeista, a wkrótce fanatyczny faszysta, który oskarżony o kolaborację z Niemcami ukrywał się po wyzwoleniu Francji, zanim popełnił w 1945 r. samobójstwo.

Po wojnie Wittlinowi pozostała tylko Ameryka, do której dostał się podobno z listy Tomasza Manna i do której dotarł już w styczniu 1941 r. przez Portugalię i Francję, gdzie przed wybuchem wojny przebywał na stypendium, i do której udało mu się sprowadzić żonę z córeczką.

Do Ameryki miał stosunek ambiwalentny. Była dla niego krainą wielkiej samotności, czuł się w niej ciągle patriotą swojej Europy i chociaż doceniał demokratyczny potencjał amerykańskiego społeczeństwa, oburzała go segregacja rasowa i bezduszość, z jaką traktowano tu kwestię nierówności społecznych. Wracały też do niego stare lęki. Już z okopów I wojny wyszedł pełen złych myśli. „Bardzo możliwe, że przyszła religia człowieka będzie religią amoralną, a-etyczną religią uświadomionego zła” – pisał w eseju „Barbarzyństwo” i ta wrażliwość znalazła swój zapis w debiutanckich „Hymnach”. Wielka wojna narodów była hekatombą ofiar i moralną klęską ludzkości.

Na początku lat 20. propagował idee pacyfizmu, ale dalsze wydarzenia jedynie jego pesymizm gruntowały. „Żyjemy w aurze nowej wojny (...) niby w jakiejś koszarnej poczekalni katastrof” – pisał w 1936 r. w artykule o nowym wydaniu „Soli ziemi”.

Jeśli I wojna w jego ocenie była tragedią cywilizacji, która wprowadziła standaryzację i reglamentację ludzkiego życia i zaprzęga kulturę do rydwanu wojny, czyniąc pisarzy koryfeuszami kultu śmierci, to II wojna stanowiła krach tejże cywilizacji: unaoczniała zbrodniczość władzy człowieka nad samym sobą; władzy, której człowiek jeszcze w pełni nie posiadał, a która już wymknęła mu się z rąk i zwróciła się przeciwko niemu samemu.

Zagłada Żydów, o której dowiedział się, już przebywając w Ameryce, zrujnowała resztki wiary Wittlina w ludzką solidarność (i o solidarności ludzkiej, i o zagładzie Żydów napisał kilka najdonioślejszych w poezji polskiej wierszy). II wojna była tyleż katastrofą kultury, co jej wytworem, przekonywała go nie mniej niż „Odyseja” o ciągłości natury ludzkiej z jej przyrodzonym złem. Żyjemy w świecie Weimaru i Buchenwaldu, Luwru i obozów koncentracyjnych, pisał w jednym z powojennych esejów.

Ciekawe, że mimo filozoficznego i cywilizacyjnego pesymizmu nigdy nie opuszczała Wittlina wiara w wartości demokratyczne czy empatia wobec bliźnich. To jeszcze jeden przejaw częstego u niego

anachronicznego mieszania porządków poetyk i wartości, mających za podłoże nieoczekiwane mutacje filozofii „mimo wszystko”, tym razem pomocnego w wyborach lepszego przeciwko gorszemu:

„Słowo »ludzkość« dajemy w cudzysłowie, bo któż dzisiaj wymawia je bez ironii? (...) i być może słowo »ludzkość« w tym znaczeniu, w jakim używali go humanitaryści, jest dziś tylko archaizmem. Archaizujmy zatem świadomie”, pisał po śmierci pisarza Henriego Barbusse’a.

Takie teksty jak „Hymn o łyżce zupy”, „Ostatnia instancja” o niespodziewanej wizycie, jaką złożyli mu dwaj bezrobotni, ufni w siłę sprawczą „literata”, albo „Włodarczyk nie dojechał” o dozorczy domu prezydenta Starzyńskiego, którego jakoś nie można spotkać w Paryżu wojennych uciekinierów, czynią go właściwym autorem przedmowy do wydanej podczas wojny w Nowym Jorku antologii polskiej myśli demokratycznej. I świetnie uwiarygodniają jego słowa z wydanej w 1956 r. w Londynie broszury „Dlaczego nie wracamy” o tym, że powrót do kraju, w którym pisarzom powodzi się doskonale, nie kusi go, dopóki robotnikom w Polsce jest źle.

Autorem głośniejszej, ale zapomnianej powieści i garści wierszy wydanych dopiero po śmierci był znany głównie jako eseista i publicysta literacki. Paryska edycja jego tekstów w tomie „Orfeusz w piekle XX wieku” i jej późniejsze krajowe wydania tę pamięć utrwaliły. Składinał słusznie, bo Wittlin był świetnym eseistą. Giedroyc skarżył się Gombrowiczowi, że od Wittlina „wydobycie eseju wymaga dwóch lat starań i około 89 listów. Potem dostaję esej na inny temat, ale zawsze znakomity”.

Czytelnika uderza jego erudycja, ale nie tylko: Wittlin był znakomicie obeznany z rzeczami, które wtedy wchodziły do intelektualnego obiegu, a i z książkami liczącymi się podówczas krytyków, religioznawców, filozofów. Pisząc o mitologii Tuwima, przywoływał poglądy, które głosił Károly Kerényi, zajmując się nowszą poezją, odwoływał się do poglądów guru krytyków amerykańskich Denisa Donoghue, w eseju o Gogolu przywoływał Flauberta poprzez rozważania Alberta Thibaudeta, a gdy pisał o obsesji śmierci u Lechonia, cytował Maurice’a Blanchota.

Jego literackie gusta również świadczyły o tym, że nie był zakładnikiem samego siebie z czasów młodości. W 1937 r. opowiadał się w „Wiadomościach Literackich”



FOT. KAROL SEREWIS/EAST NEWS

*Marek Zaleski

• ur. w 1952 r., profesor nauk humanistycznych. Do 2023 r. pracownik IBL PAN. Były członek jury Nagrody Literackiej „Nike” (w latach 2018-19 przewodniczący). Ostatnio wydał „Intensywność i rzeczy pokrewne”, Warszawa 2021

Józef Wittlin, „Orfeusz w piekle XX wieku”, t. 1-2, Kraków 2021; tenże: „Teksty rozproszone”, t. 1-2, Kraków 2022



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Józef Wittlin

Litania

*O wszystkim, co się teraz dzieje – milczę.
Milczę o moich bliźnich poniżeniu.
Milczę o bliźnich moich poharńbieniu.
Milczę o Polsce po śmierci Marszałka,
O głodzie głodnych, o sytości sytych,
O wszystkich w boju nierównym pobitych.
Milczę o nędzy wsi i doli chłopa.
Milczę o nędzy miast i bezrobociu.
Milczę o mroku w duszach gnębieli.
Milczę o mroku w duszach pognębionych.
Milczę o szczuciu ludzi przeciw ludziom.
Milczę o biciu bezbronnych i słabych.
I o istnieniu Berezy Kartuskiej,
I o kajdanach na rękach poety.
(O tobie milczę też, panie cenzorze,
Więc nie konfiskuj mojego milczenia).*

*Milczę o wszystkim, co z mego sumienia
Czyni nieczystą, krwawą, ropną ranę.
Milczę o wszystkim, co gardziel mi dusi.
Milczę o zmorach, które noc mi kładzie
Na sercu pełnym grozy i goryczy.
Z czeluści piekieł, które się rozwarły,
Dusza milczeniem krzyczy.*

*Milczę o wszystkich zbrodniach, które widzę.
Milczę o wszystkich uzbrojonych tchórzach,
O tonach krwi, wylanych nadaremnie.
Milczę o wojnach, które już się toczą.
Milczę o wojnach, co jutro wybuchną.
Milczę o dzieciach w trupiarni Madrytu.
Milczę o lasce bomb i iperytu.
Milczę o wszystkich procesach moskiewskich.
Milczę o diable, co po świecie chodzi.*

*Panie, co sądzisz słowa me i czyny,
Nie karz mnie srogo za moje milczenie.
1937*

Wiersz za: Józef Wittlin, **„Wybór poezji”**, wstęp i nota biograficzna Wojciech Ligęza, WL, Kraków 1998.

za nagrodą dla „Ferdydurke”, potem do nagrody londyńskich „Wiadomości” zgłaszał Mariana Pankowskiego, „Pornografię”, a następnie „Dziennik 1966-69” Gombrowicza, Miłosza, wreszcie Mrożka.

Wszystko to sprawia, że eseistyka Wittlina okazuje się dziś jego opus magnum. Wypada więc docenić dokonaną przez krakowski Instytut Literatury dwutomową reedycję „Orfeusza w piekle”, obszerną oraz dwutomową edycję tekstów rozproszonych z lat 1919-75, z których kilkadziesiąt, jak czytamy w przedmowie autorki ich opracowania Katarzyny Szewczyk-Hake, to teksty dotąd nieznane i nieprze-drukowane.

Oprócz esejów mamy tu rzeczy bardziej publicystyczne, recenzje literackie i teatralne, okolicznościowe pożegnania i wspomnienia o zmarłych, odpowiedzi na ankiety itd., itp. Tu autorka niewątpliwie dokonała wielkiej pracy, choć szkoda, że nie skonsultowała się z wcześniejszymi wydawcami Wittlina po 1989 r., choćby z Pawłem Kądziałą, i nie zamieściła tych (co najmniej kilkunastu!) tekstów, które na przestrzeni ostatnich lat udało im się odnaleźć.

Myślę tu chociażby o artykule „Głos postronnego pisarza w sprawie brzeskiej”, drukowanym w 1931 r. w „Robotniku”. Wittlin, pisząc o stosowanych w więzieniu wobec przeciwników politycznych torturach, rozprawia się z mitem Polski Bezgrzesznej. „Z czynów brzeskich mogłaby literatura wyciągnąć podobne wnioski o duszy naszej, jakie wysnuwała, gdy chodziło o duszę rosyjską”, powiada.

Jest jeszcze coś innego, co psuje przyjemność lektury. Instytut Literatury, znany dotąd z wydawania za duże dotacje od ministra kultury książek niekoniecznych i literaturopodobnych, również pisma Wittlina wydał w ohydny, broszurowym formacie, te cztery „cegly” trudno doprawdy wziąć do ręki.

Szkoda, że Wittlinowi przypadł w udziale taki los, bo czytane dziś pisma autora eseju „Blaski i nędze wygnania” stanowią imponującą panoramę literacką wieku XX i nie tylko. W jego tekstach ciągle można znaleźć coś dla siebie. Warto dziś czytać Wittlina, nawet w wydaniu krakowskiego Instytutu Literatury. Znowu: mimo wszystko. ●